

Ponure „święto głów”

To, czego żaden biały jeszcze nie widział

Wiosną 1936 roku płk. Iselin, kpt. Prestre i p. Leong wyruszyli w głąb niezbadanej żółtej dżungli. Powierzono im misję wytknięcia granicy między Jannanem a Birną. Misja ta miała ich zaprowadzić aż w głąb królestwa krwawych Uasów, dokąd przedtem nie dało się dotrzeć żadnemu białemu. Po drodze jednak musieli stoczyć morderczą walkę z piratami na rzece Jung Ruk. Zginęła przysięga mała Bao Suann, towarzysząca kpt. Prestre. Wreszcie płk. Iselin z towarzyszącym przybył do Dung-Dingu, stolicy łowców głów, gdzie krajowcy na znak przyjaźni powitali go „woskiem pszczoł”. O niezwykłych przygodach w tym kraju opowiada uczestnik wyprawy kpt. Prestre na łamach „Paris Soir”.

LOWCY NIE WRACAJĄ

W wozach ani żywego ducha...

Minęło już sześć dni od czasu, gdy najlepsi wojownicy szczepu udali się na poszukiwanie głów. Tego wieczoru księżyc rozpoczął trzecią kwadrę. Nadchodziło święto głów, a łowcy dotychczas nie dawali znaku życia.

Nie ma głów — nie będzie zbiorów...

W miarę jak czas upływał, słońce podnosiło się, a następnie schyliło się ku zachodowi. Tego wieczoru księżyc rozpoczął trzecią kwadrę. Nadchodziło święto głów, a łowcy dotychczas nie dawali znaku życia. Wszak życie w głębi żółtej dżungli zależy od żyzności pól ryżowych, a ona od łaskawości bogów. Bogowie nie okazali łaski, jeżeli im się nie ofiaruje w porę głów, a tu łowcy nie wracają... Trzeba za wszelką cenę, już... zaraz... zjednać mroczne potęgi porównania dnia z nocą. Potrzebne są natychmiast głowy cudzoziemców...

SMIERTELNE NIEBEZPIECZEŃSTWO

Co powiedzieliby bogowie o tej pięknej głowie o blond włosach, albo może dogodziłaby im ta szlachetna — głowa o włosach czarnych, mimo podeszłego wieku? A może głowy przewodników?...

Tysiące oczu utkwione było w nas z wyrazem nienawiści.

— Dzicy nie mają głów na wielkie święto duchów — powiedział mi Mung-Hla, mój ulubiony boj. — A więc mają ochotę na pańską głowę.

— Tak sądził Mung - Hla? — odpowiedziałem z niedowierzaniem. Przecież oni nam ofiarowali wosk na znak zgody.

— To nic nie znaczy — pokreślił głową boj — głowa białego jest tu rzadkością. To wielka pokusa dla dzikich ludzi, a jeszcze takich dzikich.

Uasowie przyglądali mi się z bawym zainteresowaniem. Czuję się coraz bardziej niespokojny. Po raz pierwszy w życiu uświadomiłem sobie, że posiadam

głowę, że ta głowa jest połączona z tułowiem, tylko bardzo kruchą sztywą.

Dzicy zaczęli otaczać mnie kołem, gadając i gestykulując. Wiedziałem, że oni oceniają moją jasną cerę i wysławiają moją przekłątą falującą czuprynę. Pułkownik znał się na takim „powodzeniu”. Popatrzyliśmy na siebie i jednocześnie zarepetowaliśmy brauningi, gdy triumfalne wycie oznajmiło nam powrót myśliwych. Otęchaliśmy z ulgą.

Później dowiedzieliśmy się, że nigdy jeszcze nie byliśmy narażeni na większe niebezpieczeństwo.

TRIUMFALNY POWRÓT

Na szczęście łowcy przybyli w sam czas.

— Ai - Sahm, nadzieja szczepu, krocz dumnie na czele, wymachuając w ręku głowę, która zdawała mi się — ciężko dyszyć z przestępu. Była to głowa mała i okrągła, z wielkimi, szeroko otwartymi oczami, wyrażającymi ogromne zdziwienie — głowa małej dziewczynki.

Inni łowcy ciągnęli za nim, niosąc w rękach długie, okrwawione noże, wymowny dowód stoczonej walki.

Ogółem przyniesiono 6 głów. Życzliwość boga będzie sówicie opłacona. Zresztą co najmniej trzy głowy pochodziły z trupów rozbójników pozostawionych przez nas na drodze przez dżunglę. Jedną była zniekształcona w okrutny sposób. Uasowie musieli stoczyć o nią walkę z sępami, które ją solidnie napoczęły.

Szczep przyjmował zwycięzców uroczysto. Starzy wojownicy podawali sobie głowy ważyły je w ręku, oceniali z obfitości włosów błogosławieństwa, które przez nie spłynę na cały szczep. Wszyscy ze skupionymi minami słuchali zgiełkliwych opowiadań łowców. Dzieci wślizgiwały się pomiędzy grupy rozmawiających. One także chciały widzieć i dotknąć trofea. Wreszcie główni zawładnęli kobietami — wtuliły je w piersi, rozczesały im włosy, głaskali ich po twarzach, zawodząc płaczliwym głosem jakieś śpiewy.

Nagle rozległ się głos głównego kapłana szczepu:

— Cofnijcie się niewiasty, wy, które ściągacie w błoto chwałę naszych wojowników. Cofnijcie się. Idźcie gotować ryż i przyrządzać mięso, ponieważ ten wieczór jest świętem głów.

ŚWIĘTO GŁÓW

Ten wieczór był istotnie świętem głów. One były ośrodkiem wszystkiego, centrum świata, który rozciągał się aż do granic gór.

Kapłan, który wymawiał zaklęcia, był ubrany w srebrną szatę, ciężkie bransolety wysadzone wielkimi kamieniami polyskiwały w blasku płomienia i uderzały o siebie.

Nagle dźwięczące dotąd gongi umilkły, w niebo wznosił się jeden głos śpiewu, skandowany w którym brzmiało coś niesamowicie.

tego. To głos zaklinacza, przemawiającego do głów.

Głos zaklinacza wznosi się, rozbrzmiewa, ogarnia wioskę, ogarnia dżunglę, aby płynąć dalej niż można go słyszeć, aż do wielkiej rzeki w kraju zmarłych.

BIESIADA

Zaklinacz umilkł i tylko było słychać dźwięki bransolet, podczas jego rytualnych ruchów przy karmieniu głów. Między ściśniętymi zębami wypychał on gorący ryż i dybiące mięso. Kiedy pokarm wypadał z wypchanych ust, wtedy zaklinacz wkładał między martwe wargi szyjkę dzbanka z napojem.

Głowy jadły, jadły, wśród milczenia bardziej ponurego, niż to, które przyniata groby.

Głowy jedzą... Głowy najadły się...

Teraz jedzą już ludzie. Czarne ręce spadają na biały ryż i soczyste mięso. Tłuszcz wycieka kącikami ust.

Uasowie tłoczą się przed głowami. Mówią do nich, padają przed nimi na twarz, wychwalają je i błogosławia. Napięte muskuły muszą wyładować nadmiar siły w tańcu rytualnym. Tworzy się łańcuch dookoła niewzruszonych głów. Czarne burzliwe morze tańczących toczy się pod płomienną osłoną pochodni.

Świtu nie widać. Szał trwa dwa dni. Dwa dni obfitego biesiadowania i potężnej pijatyki dwa dni rozpusty.

W rynienkach z bambusu, głowy powoli rozkładają się pod żarem marcowego słońca. Pod gałkami pokrywającymi drzewo duchów i po przez całą wioskę

powiew wiatru roznosi ciężkie zapach zgnilizny.

ALEJA CZASZEK

Łowcy mogą spać spokojnie.

A my możemy powiedzieć Uasom „dowidzenia” i dalej szukać przegód.

Kiedy zasiewy zostaną ukończone, gdy spełniwszy swą misję, mogą zasnąć pod dżunglą w dziuplach świętych pni, którymi jest wytknięta ulica czaszek.

Na nowo poruszy się wioska. Nie będzie to jednak gorączkowa radość wielkiej uroczystości, lecz spokojna radość osiągniętego powodzenia. Zaklinacz położy zgnię głowę na pokryte liśćmi bambusa nosze, które poniesie dwóch mężczyzn. Procesja przejdzie przez wioskę po drodze nad rzeką, po czym pograży się w gęstym lesie, przez który prowadzi dziwna aleja.

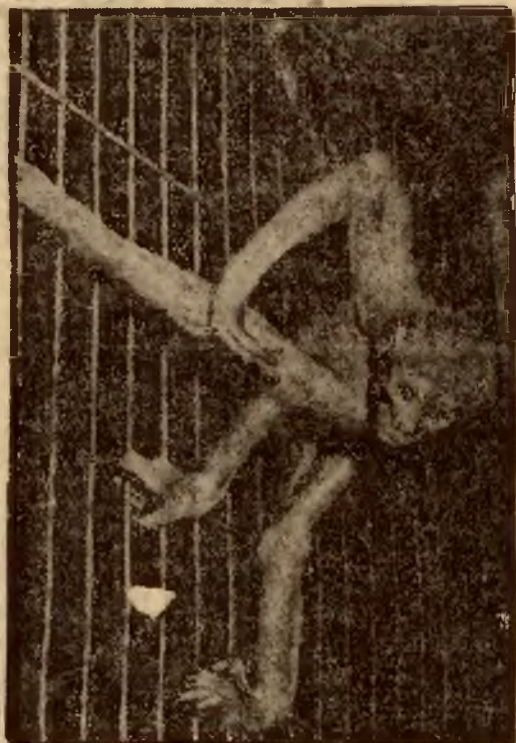
Tutaj właśnie spoczywają wszystkie głowy, które przez szereg generacji sprowadzały żyzność pól ryżowych Dung-Dingu. Tu jest aleja czaszek. Tu zatrzyma się zaklinacz przed sześciu drzewami świeżo ozdobionymi symbolicznymi płytami. Wnętrze pni zostanie wydrążone. Zaklinacz umieści głowę w dziuplach, zamykając otwór wielkim płaskim kamieniem, jednak w pniu zostanie okienko, przez które duża może wyjść aby walczyć ze złymi duchami i opiekować się wioską.

Sześć głów spocznie w dziuplach sześciu świętych drzew, zaklinacz zrobi trzy rytualne ukłony i odmówi rytualne modły.

(b. g.)

MEBLE KUPIONE U **P. MORAWSKIEGO** PRZETRWAJĄ KILKA POKOLEŃ
CHMIELNA 41 róg Marszałkowskiej

Biała małpa



Niezwykły okaz swej rasy — bardzo rzadka biała małpa — zawieszona jak pajak na kracie klatki.

Bilans sezonu w Filharmonii

Jak się przedstawia bilans artystyczny minionego sezonu koncertowego w Filharmonii? Bezsprzecznie zupełnie dodatnio.

Przed wszystkim podkreślić trzeba znaczne uwzględnienie młodej muzyki polskiej w programach ubiegłego sezonu. Z tego tytułu należą się dyrekcji Filharmonii słowa najgorętszego uznania. Twórczość kompozytorów polskich starszej generacji nie przytłaczała już tak beznadziejnie swym martwym ciężarem rosnącego z roku na rok i krzepnącego na siłach dorobku młodej generacji. Wykonane zostały nareszcie utwory Woytowicza („Sui-ta Koncertowa”, „Poemat Żalobny”), Palestra („Uwertura” (dwukrotnie!), „Taniec z Osmolody”) i Maklakiewicz („Ostatnie werble”).

Jeden koncert był całkowicie wypełniony dziełami Karola Szymanowskiego. Odbyły się pierwsze wykonania „Koncertu na orkiestrę” i „koncertu fortepianowego” Kondrackiego. Wystawiono szereg kompozycji najmłodszych przedstawicieli twórczości polskiej: Ekiera (Suita góralska), Szalowskiego (Uwertura) i Panufkina (Mała Uwertura). Uwzględniono również w programach dzieła Poradowskiego (IV Symfonia), Karsera (koncert na głos i poemat „Dies irae”). Wykonawcami dzieł młodych kompozytorów byli netyklo miejscowi nasi dyrygenci (Mierzejewski, Fiteberg, Witkowski), lecz także wybitni kapelmistrz zagraniczni tej miary co Ansermet, Ferrero, Matic i in. Pod tym

względem dezideraty, wysunięte na tym miejscu przed rokiem, zostały przez dyrekcję Filharmonii uwzględnione całkowicie i zrealizowane w całej rozciągłości.

Pozatem odbyło się pierwsze (w Warszawie) wykonanie arcydzieła europejskiego „Symfonii Hindemitha”, „Mathis der Maler”. Obok tego — „Koncertu wiejskiego” Poulenc’a, „Avi i alla pollacca” Tasmana i „Kola” Goltovaca. Jak na olbrzymi dorobek współczesnej muzyki europejskiej jest to stanowczo za mało, jeśli wziąć pod uwagę zupełnie meznane w Warszawie, a grane już na całym świecie dzieła A. Berga (koncert skrzypcowy i „Loulou”) Markiewicza („Rebus”, „Partita” i t. p.), nie mówiąc o nowych utworach Strawińskiego, Hindemitha, Honeggera, Florent - Schmitta. Weszły one już na stałe do repertuaru wszystkich szanujących się orkiestr europejskich. U nas jednak ciągle jeszcze z niezrozumiałym uporem walczy się z różnego rodzaju zawałami w rodzaju „poematów” Ryty, lub „oper” Kazury! Czas najwyższy, położyć temu kres! Spodziewamy się, że w przyszłym sezonie czynna dyrekcja Filharmonii, trzymająca rękę na pulsie życia muzycznego, otrząśnie się ze swych zgubnych nawyków i stanie na prawdziwej wyżynie artystycznej, na której pragniemy ją wszyscy widzieć oddaną. Dzieła o wartości europejskiej powinny zdobyć sobie trwałą pozycję na estradzie naszej Filharmonii.

Michał Kondracki.

Teatr — życie — religia

Odczyt St. Miłaszewskiego

W ramach przedostatniego w tym roku wieczoru dyskusyjnego, z poróżd organizowanych przez Akcję Katolicką, wygłosił p. St. Miłaszewski odczyt p. t. „Teatr wobec życia i religii”.

Każdy człowiek ma tęsknoty i cele pozamaterialne, metafizyczne. Największe nasilenie tych tęsknot znajdujemy w mistycyzmie, który, nawiązując bezpośredni kontakt między Bogiem i człowiekiem, odrywa człowieka od wszelkiej formy ziemskiej, cielesnej, a co za tym idzie, nie sprzyja żadnemu artyzmowi, daje bowiem wartości odeń wyższe.

Od żadnej sztuki (więc i teatralnej) nie żądamy doskonałości. Sztuka teatralna ma za cel poruszyć i zachwycić widza, „przerobić go na swoje kopyto” — mówi p. Miłaszewski. Twórcami teatru są autor, reżyser, dekorator, aktor i publiczność. Były jednak sztuki bez autora (commedia dell’arte), bez reżysera i bez dekoracji.

Aktor jest współtwórcą sztuki teatralnej. On zmienia, tworzy osobę tej sztuki. Raz jest w dobrym humorze, kiedy indziej spotka go przykreść — i od tego, od tych wydarzeń z prywatnego życia aktora, zależy interpretacja, jaką otrzyma postać sceniczna. Z drugiej strony liczba i zachowanie się widzów na sali wpływa na aktora. I znowu bieżące życie wpływa na sztukę teatralną. Nie mała jest również rola reżysera, szczególnie wtedy, gdy aktor, pozbawiony wyobraźni, jest po prostu rzemieślnikiem, a nie artystą. Aktor, reżyser, publiczność — to najważniejsi przedstawiciele współczesnego życia, którzy mogą zmienić do niepoznania in-

terpretację sztuki teatralnej. Przez nich życie wpływa na teatr.

Zachodzi także zjawisko przeciwnie: teatr wpływa na życie. Zwykle ten wpływ jest b. powolny (nie brak wyjątków: „Wesele Figara” Beaumarchais’a przed Wielką Rewolucją, teatr rosyjski przed r. 1917). Szczególnie ważny jest tu klimat moralny sztuki. Tak np. apoteoza silnej woli u Corneilla ukształtowała filozofię Descartes’a. (To jest wątpliwe: najważniejsze tragedie Corneilla powstały po r. 1640, prócz Cyda z 1636-7; „Rozprawa o metodzie” Descartes’a jest z 1637; zachodzi więc tu jedynie godny uwagi paralelizm myśli filozoficznej. — Przyp. sprawozdawcy). W nowszych czasach farsa bulwarowa znieczuliła zmysł moralny znacznej części społeczeństwa, które przestaje reagować na elegancję rozpusty.

Teatr wzrusza widza. Powinien wykorzystać to wzruszenie we właściwym kierunku. Do tego przyczynia się atmosfera i prawda sztuki — dwa jej najważniejsze składniki.

M. Pod.

Jubileusz

prof. dr. A. Diveky’ego

Prof. dr. Adrian Diveky, docent języka węgierskiego na Uniwersytecie Józefa Piłsudskiego w Warszawie, wybitny działacz na polu zbliżenia kulturalnego polsko - węgierskiego, obchodził 20-lecie swego pobytu w Warszawie i związanej z tym pożytkiem działalności naukowej.

Prof. Diveky zajmuje się w swych pracach historycznych stosunkami polsko - węgierskimi politycznymi i kulturalnymi, głównie w wiekach średnich i w 18 — 19 w.

ACEK BRZEZINA

103)

TOWARZYSZ NR. 103

POWIEŚĆ

Męża znalazła rozmawiającego z jakimiś dwoma panami. „Anglicy” — pomyślała patrząc na ich chude i długie postacie, gładko wygolone twarze i różowe cery. Jeden w dodatku świecił zdala złocisto-rudą czupryną i milionem piegów, które jak mrówki obsiadły jego nos, policzki i szyję. Joan czuła, jak dziwne, zimne i gorące na przemian dreszcze zaczęły przebiegać po jej ciele. „Anglicy!”

— Ach, nareszcie wstała! — zaśmiał się Good biorąc ją za rękę. — Pozwól, że ci przedstawię: Mister Smith, mister Thomson...

— How do you do!

— How do you do!

Obaj panowie przyglądali się Joan. Rozmowa toczyła się na ogólnie tematy Bliskiego Wschodu, lecz Joan czuła na sobie ciągle przenikliwy wzrok Smitha lub Thomsona. Czuła, że nerwy jej zacznają kurczyć się pod wpływem dziwnego strachu.

— Gdzie jest Borowski? — spytała męża.

— Wyszedł gdzieś. Dopiero wieczorem wróci — odpowiedział zdawkowo Good. Jakis chłód bił od niego.

Przy lunchu doczekała się wreszcie Joan tego, czego podświadomie się spodziewała; i na co czekała, bojąc się sama zapytać.

Good, rozlewając wino do kieliszków, zagadnął jak gdyby od niechcenia.

— Chyba nie będziesz miała nic przeciwko temu, że pojedziemy jeszcze dzisiaj do Rudbach na kolację?

— Do Rudbach? — zdziwiła się. — Ależ my dopiero co zrobiliśmy przeszło tysiąc kilometrów! Znowu wybierać się na wycieczkę, dziesięć godzin tuś się przez pustynię i step po to, by zjeść kiepską kolację w domu wypoczynkowym po środku pustyni?

Good zamienił spojrzenia ze swymi gośćmi.

— Nie ma celu bawić się w ciuciubabkę: panowie Smith i Thomson delegowani są z centrali londyńskiej celem schwytania agenta nr. 103!

Joan jadła spokojnie rozbełdziła się, że może tak łatwo gryźć i przełykać twarde mięso.

— Według ostatnich wiadomości agent 103 wyjechał dziś z Bagdadu do Rudbach. Władze fortu są już zawiadomione i ptaszka nie puszcza dalej. Pojedziemy więc tam, żeby wreszcie zobaczyć owego mistycznego agenta. Dalszymi jego losami zajmą się już panowie Smith i Thomson!

Joan skinęła głową.

— Ach, jeżeli o to chodzi, to naturalnie, że warto pojechać. Trzeba mi to było wcześniej powiedzieć. Ale czy przypadkiem ta wiadomość nie jest fałszywa?

— Właśnie trzeba ją sprawdzić. Po to jedziemy.

Rozmowę przerwał wtroczenie się na salę jakiegoś nowoprzybyłego gościa. Był zakurzony, wręcz brudny, co świadczyło, że musiał przebyć dość żmudną i długą drogę. Nasunięta na oczy cyklistówka i czarne okulary jakby czyniły z przybysza bezosobową figurę, jednak Good i Joan prawie jednocześnie słuchali w sobie głośny okrzyk:

— Einhorn!

Zyd przeszedł szybko przez hall i zniknął na schodach prowadzących do pokoju.

Good zerwał się z krzesła.

— Musimy natychmiast jechać, póki Einhorn nie odpasnie po przebytej drodze! — Spojrzał na Joan, dziwnie bladą i drżącą. — Co ci jest?

Chwila upłynęła, zanim zdołała przemówić. Czuła na sobie świadujące spojrzenia dwóch Anglików, czuła niedaleką obecność Einhorna.

— Wiesz, że boję się tego Zyda! Zawsze przynosi ze sobą jakieś nieszczęście!

— Głupstwo! On ściga tylko owego 103, nam tutaj nic nie robi. Bagdad to nie jego teren. — Zwrócił się do Smitha i Thomsona. — Nie mamy czasu do stracenia. Jeżeli my nie złapiemy agenta nr. 103, to Einhorn uczyni to na pewno, a co wtedy? Musimy natychmiast jechać!

Po dziesięciu minutach opuszczali Bagdad, drogą na zachód, szlakiem pustynnym, wiodącym do Damaszku i dalej nad Morze Śródziemne. W połowie tej drogi, w szczerej pustyni leżał fort Rudbach, otoczony namiotami pół dzikich nomadów. Lotnisko, radiostacja, punkt wypoczynkowy dla samochodów i autobusów. Bezdrzewna oaza, zaopatrzona w komfort tak konieczny dla przejeżdżnych Europejczyków.

Noc już była, gdy panowie Smith i Thomson wraz z Goodem zajęli przed mury ogrodzone zasiekami drutu kolczastego. Przeszło dziesięć godzin jazdy przez fatę nie wyboisty i pokryty kamieniami i błotem step nie wpłynęło na dobre humory.

(D. c. n.).